Dlaczego po podlasku. Odpowiedź Olegowi Łatyszonkowi

Jan Maksymiuk



W tomie XXXII pisma „Pogranicze. Studia Społeczne” Uniwersytetu w Białymstoku ukazał się artykuł *Dlaczego nie „po swojemu”. Rozważania o społecznej roli i przyszłości wschodniosłowiańskich języków wschodniej Białostocczyzny* autorstwa Olega Łatyszonka, pracownika naukowego Instytutu Historii i Nauk Politycznych na Wydziale Historyczno-Politycznym tegoż uniwersytetu. Wydanie „Pogranicze. Studia Społeczne” sygnowane jest Instytutem Socjologii przy macierzystym wydziale profesora Łatyszonka.

Trzy powody do napisania odpowiedzi Olegowi Łatyszonkowi

Po pierwsze, w swoim artykule Łatyszonek ustosunkowuje się krytycznie (w sensie negatywnym) do mojej idei nadania *językowi podlaskiemu* (opartemu na gwarach *po-svojomu* koło Hajnówki i Bielska) roli pełnoprawnego języka pisanego i mówionego na równi z literackim językiem białoruskim w ruchu białoruskim na Podlasiu. Jeśli chodzi o pierwszą część artykułu, która jest prawie trzykrotnie obszerniejsza od części drugiej dotyczącej gwar białoruskich koło Sokółki i Dąbrowy Białostockiej, to jestem w niej głównym „protagonistą” skupiającym na sobie ostrze krytycyzmu autora.

Po drugie, chociaż brzmi to niewiarygodnie, tekst Łatyszonka jest pierwszym publicznym głosem w sprawie języka podlaskiego zabranym przez osobę opiniotwórczą w środowisku białoruskim na Podlasiu. Przypomnę, że postulat wprowadzenia języka opartego na gwarach *po-svojomu* z okolic Hajnówki, Bielska i Siemiatycz do mniejszościowych mediów białoruskich w Białymstoku zgłosiłem po raz pierwszy latem 2004 roku na tzw. Trialogu Białoruskim zorganizowanym przez

nieżyjącego już Sokrata Janowicza. W roku następnym ten postulat opublikowałem w białostockim miesięczniku „Czasopis” (*Pisati po-svojomu*, luty 2005), a dwa miesiące później w tymże piśmie pojawił się mój tekst, w którym zaproponowałem nazywanie tego postulowanego (mikro)języka literackiego *językiem podlaskim* (*Ustawa o mniejszościach a naša pudlaśka mova*, kwiecień 2005). Jakkolwiek oceniać efektywność moich wysiłków w sprawie promocji języka podlaskiego na przestrzeni ostatnich 15 lat, nie sposób nie odnotować, że ten język wyszedł dziś już daleko poza prywatne hobby publicysty z Pragi i stał się zauważalnym elementem życia mniejszości białoruskiej na Podlasiu (teatr po podlasku; energiczna działalność wydawnicza — na przykład, cztery książki literackie po podlasku w ciągu ostatniego półtora roku; comiesięczna audycja po podlasku w Radiu Białystok; regularne teksty po podlasku w „Czasopisie”; strony *Howorymo po swojomu* i *Hovorym po svojomu!* w Internecie; działalność wydawnicza Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach). Język podlaski również został odnotowany w międzynarodowym świecie naukowym (publikacje o języku podlaskim pojawiły się w renomowanych wydawnictwach naukowych *Cambridge Scholars Publishing* i *Peter Lang Publishing*; konferencje i sympozja z prezentacjami o języku podlaskim miały miejsce w Kanadzie, Japonii, Szkocji i Słowacji). Wszelako najciemniej, jak mówią, pod latarnią. Nic merytorycznego o języku podlaskim jako nowym elemencie życia mniejszości białoruskiej w Polsce nie usłyszeliśmy do tej pory w Białymstoku. Żadnej głębszej refleksji czy nawet próby dyskusji w mediach mniejszości białoruskiej przez 15 lat! Dlaczego? Artykuł Łatyszonka, który pojawił się w znanym tylko wąskiemu gronu pracowników uniwersyteckich wydawnictwie, a nie w mainstreamowym medium, rzuca pewne skąpe światło na to najwyraźniej kłopotliwe pytanie.

Po trzecie, natrafiłem na ten artykuł trzy miesiące temu zupełnie przypadkowo, szukając w Internecie czegoś związanego z hasłem „język podlaski” przy pomocy wyszukiwarki Google. Byłem nielicho zdumiony, że profesor Łatyszonek napisał tekst pokaźnych rozmiarów o czymś, co dotyczy bezpośrednio mnie i tego, czym się zajmuję, ale nic mi o tym nie powiedział. Byliśmy i, jak ufam, pozostajemy dobrymi znajomymi jako „towarzysze broni” i weterani ruchu białoruskiego lat 1980. i 1990. Dlaczego więc nie pochwalił się swoim tekstem? Sądził, że jestem prenumeratorem „Pogranicza”? Nie, nie jestem i nigdy nie byłem. O istnieniu tego pisma dowiedziałem się po raz pierwszy właśnie trzy miesiące temu, przy okazji wspomnianego wyszukiwania w Google. Po zapoznaniu się z artykułem Łatyszonka zrozumiałem, że autor rzeczywiście nie miał powodów do chwalenia się nim, tym niemniej ten artykuł zasługuje na odpowiedź, ponieważ sprawa dotyczy czegoś znacznie większego niż tylko różnicy poglądów.

Ale po kolei...

Gwary podlaskie jako baza języka regionalnego

Oleg Łatyszonek zaczyna swój tekst od typowego uniku stosowanego w publicystyce białoruskiej na Podlasiu, jeśli chodzi o lingwistyczną kwalifikację gwar wschodniosłowiańskich z okolic Hajnówki i Bielska. To znaczy, chowa głowę w piasek przed odpowiedzią na pytanie, jakie to gwary — białoruskie czy ukraińskie? „Nie zamierzam wdawać się w dywagacje językoznawcze” — pisze w tym kontekście Łatyszonek. Tutaj wcale nie trzeba wdawać się w dywagacje, ponieważ zgodnie z obowiązującym obecnie w filologii słowiańskiej paradygmatem językoznawczym gwary wschodniosłowiańskie *niedziekające* i *nieciekające* na Podlasiu są zaliczane do gwar ukraińskich. Gwary podlaskie (takiego określenia będę używał dalej w stosunku do tych *niedziekających* i *nieciekających* gwar na Podlasiu) są zaliczane przez językoznawców do zespołu *dialektów północnych* języka ukraińskiego, do którego, oprócz *gwar podlaskich*, wchodzą jeszcze *gwary wschodnio-, środkowo- i zachodniopoleskie*.

Gwary podlaskie różnią się jednak od standardu literackiego języka ukraińskiego na tyle

wyraźnie, że na ich bazie można zaproponować osobny standard językowy. To właśnie zrobiłem w przypadku języka podlaskiego. I jest to standard znacznie bardziej oddalony leksykalnie, fonologicznie i morfologicznie od literackiego standardu ukraińskiego niż na przykład *język łemkowski* w Polsce czy *język rusiński* w Słowacji. Oba te języki, przypomnę, otrzymały status języków mniejszościowych w swoich krajach.

Uważam, że z czysto lingwistycznego punktu widzenia język podlaski jest bardziej predestynowany do otrzymania statusu osobnego języka mniejszościowego (języka regionalnego) niż łemkowski czy rusiński. Ale uznanie odrębności jakiegoś języka to dzisiaj problem nie tyle lingwistyczny, ile polityczny i społeczny. Najwyraźniej widać to na przykładzie byłej Jugosławii — po rozpadzie tego organizmu państwowego jeden wspólny język literacki (*serbsko-chorwacki*) otrzymał cztery różne nazwy. Mamy zatem obecnie cztery „nowe" języki słowiańskie — *chorwacki*, *serbski*, *bośniacki* i *czarnogórski* — które w zasadzie niczym się od siebie nie różnią ani leksykalnie, ani gramatycznie. Z drugiej strony mamy tam dwa języki uznawane za dialekty niegdysiejszego języka serbsko-chorwackiego — *czakawski* i *kajkawski* — które różnią się od niego i od siebie na tyle wyraźnie, że w sprzyjających warunkach polityczno-społecznych mogłyby stać się odrębnymi językami słowiańskimi. Ale, jak dowcipnie ujął to kiedyś lingwista amerykański Max Weinreich, różnica między językiem a dialektem polega na tym, że „język to dialekt z armią i flotą wojenną". Armie i floty państw powstałych po rozpadzie Jugosławii stoją dzisiaj na straży czterech politycznych wariantów tego samego języka, zaś dwie odrębne *swoje mowy*, czakawska i kajkawska, pozostają dialektami albo, jak chcą niektórzy lingwiści, językami regionalnymi lub mikrojęzykami.

Czy potrzebny jest naród podlaski

Łatyszonek pisze, że słownictwo gwar podlaskich jest bliższe językowi białoruskiemu niż ukraińskiemu. Nie wiem, na czym opiera to przekonanie. Nie zajmowałem się tym problemem bliżej, ale kiedyś spróbowałem ocenić, na ile słownictwo języka podlaskiego może różnić się od słownictwa literackiego języka ukraińskiego. Wyszło mi, że różnica jest gdzieś w granicach 14%-20% (*Čom ne po-svojomu?*, Biłostôk 2014, str. 182-184). Przypuszczam, że słownictwo podlaskie różni się od słownictwa białoruskiego nie mniej niż od ukraińskiego, chociaż podobnej oceny nie robiłem. Językoznawcy oceniają, że różnice w słownictwie języków białoruskiego i ukraińskiego albo czeskiego i słowackiego, albo szwedzkiego i norweskiego są na poziomie 15%-16%. Zatem zasadniczy problem z uznaniem języka podlaskiego jako odrębnego nie leży w tym, że ten język „za mało" różni się od białoruskiego czy ukraińskiego, a raczej w tym, że zarówno Białorusini, jak i Ukraińcy na Podlasiu (i nie tylko na nim) w XXI wieku myślą kategoriami nacjonalizmów z XIX wieku. Według tych lamusowych kategoryzacji każdy osobny naród ma (powinien mieć) jeden osobny język, i *vice versa*. Ku takiemu myśleniu skłania się też profesor Łatyszonek, dla którego białoruskość oparta na języku podlaskim wydaje się być nie do przyjęcia i zrealizowania. Skoro jest nowy język podlaski, to najlepiej dla niego byłoby stworzyć naród podlaski, radzi pod koniec swego tekstu Łatyszonek, i ja nie wyczuwam w tym żartu. A co z narodem białoruskim w Republice Białoruś, który ma co najmniej dwa języki? Albo z narodem ukraińskim na Ukrainie? Albo z narodem szwajcarskim w Szwajcarii?

Istnieje w Europie spora grupa języków słowiańskich, których status lingwistyczny znajduje się w „szarej strefie" pomiędzy powszechnie uznanymi językami i dialektami. Ta „szara strefa" dotyczy tak zwanych *języków regionalnych* (nazwa częściej używana na Zachodzie) lub *mikrojęzyków* (nazwa zaproponowana i spopularyzowana przez językoznawcę radzieckiego i estońskiego Aleksandra Duliczenkę). Wymieńmy niektóre z języków zaliczanych do tej grupy: *egejsko-macedoński* (Grecja), *banacko-bułgarski* (Rumunia, Serbia), *burgenlandzko-chorwacki* (Austria), *czakawski* (Chorwacja), *kajkawski* (Chorwacja), *morawski* (Czechy), *kaszubski*

(Polska), *molizańsko-chorwacki* (Włochy), *pomacki* (Bułgaria, Macedonia Północna, Albania, Kosowo, Grecja), *rusiński* (Polska, Słowacja, Ukraina, Węgry, Rumunia), *śląski* (Polska). Języki te w krajach swojego występowania mają różny status prawny lub nie mają żadnego; nie wszyscy językoznawcy zgadzają się co do tego, jak je traktować — jako dialekty czy też jako mikrojęzyki (języki regionalne). Łączy je jednak kilka wyraźnych cech wspólnych: języki te znajdują się na peryferiach zasadniczych masywów językowych; są w mniejszym lub większym stopniu znormalizowane gramatycznie i ortograficznie; posiadają własne piśmiennictwo i tradycję literacką, czasem długotrwałą, ale najczęściej mało znaną na zewnątrz; użytkownicy tych języków mają na ogół problemy z określeniem swojej tożsamości etnojęzykowej.

Język podlaski ma te wszystkie cechy, które wymieniłem powyżej. To typowy przykład mikrojęzyka (języka regionalnego). Jego osobliwością jest chyba tylko to, że przeważająca większość ludzi nim mówiących określa siebie jako Białorusinów, to znaczy jako grupę etniczną, której język ogólnonarodowy wywodzi się genetycznie z innego masywu dialektalnego niż język podlaski. I ta osobliwość, jak się wydaje, paraliżuje myślenie profesora Łatyszonka w szczególności i działaczy białoruskiej mniejszości narodowej na Podlasiu w ogólności na tyle, że nie są oni w stanie wyjść z szablonów pojęciowych XIX wieku i zaakceptować oczywistość XXI wieku, że o przetrwaniu tejże mniejszości decyduje kondycja użytkowników gwar podlaskich, a nie gwar białoruskich, które już niemal znikły i w żaden sposób nie żywią literackiego języka białoruskiego używanego w mniejszościowych masmediach.

Paraliż myślowy prowadzi do wymazywania pamięci

W swoim artykule Łatyszonek wspomina też o sprawie ustalania tradycyjnych nazw wsi w gminie Orla, kiedy doszło do skandalicznego zafałszowania historycznej spuścizny językowej podlaskich Białorusinów rękami Białorusinów z dyplomami uczelni wyższych. Jeśli dobrze zrozumiałem intencje autora, Łatyszonek próbuje winę za to zafałszowanie zwalić na nieżyjącego już ks. Grzegorza Sosnę („sam wówczas optowałem za nazwami w literackim języku białoruskim”): „wybrano więc [z uwagi na stanowisko ks. Sosny — JM] wariant pośredni między literacką białoruszczyzną a miejscową gwarą, z *okaniem*, lecz bez dyftongów”. Za późno już szukać winnego, ale warto jeszcze raz w tym miejscu powtórzyć to, co mówiłem osiem lat temu, kiedy ten toponimiczny wandalizm czekał na zatwierdzenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji: język podlaski daje realną szansę uniknięcia takiego „wariantu pośredniego”, który przyszłym pokoleniom pozostawił haniebną pamiątkę w postaci niepiśmiennych tablic i drogowskazów w gminie Orla. I żeby było zupełnie jasno — ewentualne tablice w gminie Orla z nazwami miejscowości w literackim języku białoruskim („opcja Łatyszonka”) byłyby moim zdaniem nie mniejszą niedorzecznością niż te obecne. W ustawie zezwalającej na ustawienie takich tablic chodzi wyraźnie o zachowanie autentycznych, tradycyjnych toponimów, a nie o narodową butaforię. „Ustalenie dodatkowej nazwy w języku mniejszości następuje zgodnie z zasadami pisowni tego języka” — stanowi Artykuł 12 *Ustawy z dnia 6 stycznia 2005 r. o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym*. W gminie Orla językiem mniejszościowym jest miejscowa gwara podlaska, która ma swoje własne zasady pisowni. Te zasady pisowni nie różnią się niczym od zasad pisowni literackiego standardu języka podlaskiego.

Cyrylica jest barierą w nauce czytania i pisania

Teraz o problemie alfabetu. Nigdzie nie twierdziłem, wbrew temu co pisze Łatyszonek w swoim artykule w „Pograniczu”, że tradycyjnych nazw miejscowości na Podlasiu nie można zapisać cyrylicą. Wystarczy zajrzeć do mojego tekstu z lutego 2011 *Безназоўнае Падляшша* (*Čom ne po-svojomu?*, str. 114-121), żeby się przekonać, że wcale tak nie myślę. Tam podaję, jak nazwy w gminie Orla należałoby prawidłowo zapisać cyrylicą przy użyciu dwuznaków *yo, iэ, ыэ* dla

oznaczenia dyftongów. „Cyryliczny alfabet białoruski wręcz doskonale nadaje się do zapisu dyftongów swojej mowy. Można bowiem przekazać je bez dodatkowych znaków diakrytycznych jako *ўо, іэ, ыэ*” — odkrywa nareszcie w roku 2018 profesor Uniwersytetu w Białymstoku, jednocześnie oburzając się na niedomyślnego Maksymiuka. Brawo! Ale ja przecież podpowiadałem mu to samo już siedem lat wcześniej. Dlaczego wtedy tego nie odkrył i nie doradził zastosowania tego odkrycia w praktyce w gminie Orla?

Zawsze natomiast twierdziłem, że zapis dyftongów cyrylicą jest bardzo nieestetyczny i mało czytelny. Popatrzmy na trzy następujące przykłady: *vôn (on) — вуон/вўон, niôs (niósł) — ніуос/ніўос, liês (las) — ліэс*. Zapis cyryliczny podlaskich słów z dyftongami nierzadko sugeruje bardziej transkrypcję fonetyczną z języka chińskiego niż zapis gwary słowiańskiej. Dlatego z przyczyn estetycznych i pragmatycznych (natychmiastowa rozpoznawalność sensu słowa podlaskiego w zapisie łacińskim; brak nawyków regularnego czytania cyrylicy przez praktycznie wszystkie pokolenia Białorusinów na Podlasiu) optuję od 15 lat za alfabetem łacińskim. I to nie ja pierwszy wprowadziłem symbole *š, č, ž* do zapisu gwary wschodniosłowiańskiej, jak zdaje się sugerować Łatyszonek, przemilczając w artykule fakt, że symbole te już od 100 lat są wykorzystywane w tak zwanej *łacince białoruskiej* do zapisu języka białoruskiego alfabetem łacińskim i są znane i czytelne dla wszystkich na Podlasiu.

Argumentem Łatyszonka za zachowaniem cyrylicy do zapisu gwar podlaskich jest to, że według Samuela Huntingtona na Podlasiu „styka się cywilizacja bizantyńska z łacińską, a alfabet ma tu charakter markera nie tyle etnicznego, ile wręcz cywilizacyjnego”. I zaraz po tym mamy jeden z najzabawniejszych argumentów (czy jak to nazwać) w całym artykule: zmiana alfabetu z cyrylicznego na łaciński w sferze publicznej była jednym z powodów konfliktu zbrojnego pomiędzy Chorwacją i Serbią po rozpadzie Jugosławii. Grozi nam konflikt Podlasia z Białorusią czy Ukrainą z powodu języka podlaskiego?

Ja nie mam nic przeciwko „markerom” cywilizacji bizantyńskiej w naszej Cerkwi i nie zamierzam nikogo z hierarchów prawosławnych na Podlasiu namawiać, żeby duchowni przestali wykorzystywać księgi liturgiczne w języku cerkiewnosłowiańskim z jego archaicznym alfabetem cyrylicznym i przeszli na współczesny zapis łaciński. Moim celem jest nie przesuwanie konfliktu cywilizacji z linii Bielska na rubież Starego Masiewa, a nauczenie posługiwania się językiem dziadków w mowie i piśmie młodych świeckich Podlaszuków (mam tu na myśli nie osobny naród podlaski sygnalizowany przez Łatyszonka, a Białorusinów Podlasia), którzy albo nie widzieli alfabetu cyrylicznego w ogóle, albo mają z nim styczność tylko na lekcjach języka białoruskiego lub rosyjskiego. Zapis łaciński języka podlaskiego jest nie tylko czytelny i estetyczny, ale też nie wymaga dodatkowych mąk uczenia się go w szkole (takie męki uczniowie na Podlasiu przechodzą na lekcjach języka polskiego i są one nie do uniknięcia dla wszystkich uczniów, niezależnie po której stronie cywilizacyjnego „uskoku” się znajdują). Uczenie cyrylicy na Podlasiu, żeby można było przez nią dojść do języka podlaskiego, przypomina mi anegdotę o robieniu operacji na wyrostek przez odbytnicę. Przy obecnym poziomie technik medycznych jest to oczywiście możliwe i nie wykluczam, że w jakichś przypadkach szczególnych taka metoda chirurgiczna jest stosowana, ale powszechnie wykorzystuje się prostszy i bardziej pragmatyczny sposób dostawania się do wyrostka przez otrzewną.

Jesteśmy białoruskimi peryferiami i w tym nasza szansa

Są jednak w artykule Łatyszonka domniemania i oceny, z których wnioskuję, że jego nieakceptacja idei języka podlaskiego jako drugiego języka mniejszościowego podlaskich Białorusinów wynika po prostu z braku zrozumienia, na czym opierała się i opiera nasza podlaska białoruskość. Gdybym chciał być złośliwy jak Łatyszonek, który wypomina mi, że ideę języka

podlaskiego najaktywniej podtrzymują ludzie nie z podlaskiego areału gwarowego — a mianowicie, Polak Mateusz Styrczula, założyciel popularnej strony internetowej *Howorymo po swojomu*, i *Lićvinka* Joanna Stelmaszuk-Troc, założycielka Teatru CZREVO — to powiedziałbym, że jego brak rozeznania w podlaskiej białoruskości wynika przede wszystkim z faktu, że brak mu „podlaskich genów". Podkreśliłbym, że jako człowiek spoza Podlasia, Łatyszonek nie jest w stanie wczuć się w sytuację kogoś, kto swoją białoruskość wypielęgnował na tym, że jego rodzice i dziadkowie mówili do niego w domu w gwarze podlaskiej i na ogół mało albo zgoła nic ich nie obchodziło, czy jest jeszcze jakaś Białoruś oprócz tej prawosławno-podlaskiej, która otaczała ich w swojej parafii. Ale powiem mu coś innego. Powiem, na czym polega główny defekt jego myślenia.

Sedno jest w tym, że nasza podlaska białoruskość narodziła się poza ogólnobiałoruskim kontekstem. I poza ogólnobiałoruskim kontekstem zemrze. Kupała, Kołas, hasło *Ludźmi zvacca!*, BNR, BSSR — to były egzotyczne nazwy dla naszych dziadków i ojców, kiedy polscy komuniści po wojnie postanowili zorganizować białoruskie szkolnictwo na Białostocczyźnie i pozwolili na działalność Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego i drukowanie „Niwy". Nikt specjalnie nie chciał być Białorusinem we wczesnej PRL, mając w świeżej pamięci „wyzwolenie", jakie przynieśli ze sobą Sowieci w latach 1939-1941. Ale skoro komunistyczna polska władza tak chciała, to nie było wielkiego wyboru. Choć i tutaj — ufam, że profesor Łatyszonek wie o tym — Białorusini ośmielili się jednak pisać podania do władz o zwolnienie ich dzieci z nauki języka białoruskiego, uzasadniając, że ta nauka przeszkadzała w sprawnym przyswajaniu języka polskiego i, co za tym idzie, w awansie społecznym ich dzieci w socjalistycznej Polsce. Wypadki pisania takich podań nie były wcale odosobnione. Natomiast o tym, czego dokonał ruch białoruski wśród chłopskiej społeczności prawosławnej na Podlasiu przed wojną, nikt po wojnie wśród tej społeczności nie pamiętał i nie chciał pamiętać. Przekonanie profesora Łatyszonka, że nasz białoruski duch na Podlasiu począł się z białoruskiej idei społecznej — *Ludźmi zvacca!* — być może miało coś wspólnego z prawdą w okresie międzywojennym, ale po wojnie sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Idea społeczna na naszych Białorusinów po wojnie oczywiście oddziaływała, ale była to socjalistyczna idea awansu społecznego „dołów" w socjalistycznej i polskojęzycznej kulturze „nowej Polski", poczęta w umysłach polskich komunistów. Kiedy w latach 1970. ruch społeczno-kulturalny Białorusinów na Podlasiu zaczął komunistom zawadzać w modernizacji cywilizacyjnie „zapóźnionego" regionu, władze odstawiły oficjalnie dozwoloną białoruskość na boczny tor bez jakichkolwiek protestów czy to ze strony kierownictwa tego ruchu, czy to ze strony „dołów".

Zdawało się, że kontekst ogólnobiałoruski dla nas pojawił się nareszcie po upadku komunizmu i powstaniu niezależnej Republiki Białoruś. Ale to też była iluzja, którą doszczętnie rozwiało przyjście do władzy Aleksandra Łukaszenki w roku 1994. Kto z pokoleń studentów lat 1980. chciał i chce identyfikować się z kontekstem łukaszenkowskiej Białorusi? Pytanie oczywiście retoryczne. Tym bardziej retorycznie zabrzmi to pytanie w odniesieniu do młodszych pokoleń Podlaszuków. A innych poważnych kontekstów białoruskich oprócz Łukaszenki dla ogółu naszych Białorusinów po prostu nie ma. Pozostają nam zatem nasze własne imponderabilia, które dotrwały do XXI wieku w naszych domach — swój język, swoje zwyczaje, prawosławne święta i rytuały. Jeśli te „markery" przestaną być żywe, nasza Białoruś skończy się niezależnie od tego, czy Republika Białoruś przetrwa pod dynastią Łukaszenków, czy też bezpowrotnie pochłonie ją Rosja.

Nauka literackiego języka białoruskiego w szkołach na Podlasiu ma znaczenie wyłącznie symboliczne. To jeden z „markerów" naszej tożsamości na sprzedaż, na zewnątrz — skoro nazywamy siebie Białorusinami, to powinniśmy umieć sklecić chociaż parę zdań w języku narodowym. Ale do niczego praktycznego, oprócz konkursów recytatorskich i śpiewaczych, ten

język nie jest nikomu potrzebny na skalę społeczną (jeśli nie liczyć jakiejś setki dziennikarzy, działaczy mniejszościowych i innych osób zaangażowanych w różne grantowo-organizacyjne formy podtrzymywania „markerów" obecności białoruskiej na Podlasiu). Na skalę społeczną ten język ma dla kilku tysięcy ludzi wartość wyłącznie emocjonalną — w tym języku rozmawiali ich dziadkowie i pradziadkowie, być może czasem jeszcze rodzice mogą się nim posługiwać. Jedynym istotnym powodem podtrzymywania znajomości tego języka jest emocjonalna więź ze swoimi przodkami, a nie poczucie jedności czy pokrewieństwa z „większą Białorusią". I na tej rodzinnej więzi opiera się nasza regionalna (i jedynie autentyczna) białoruskość.

To wszystko, co powiedziałem w poprzednim paragrafie o literackim języku białoruskim i jego gwarach na Podlasiu, dotyczy także gwar podlaskich i niedawno wykreowanego języka podlaskiego. Nikomu te gwary i ten język nie są potrzebne ani do tworzenia „narodu podlaskiego", ani nawet do konkursów recytatorskich. One są potrzebne przede wszystkim do tego, żeby jeszcze mieć istotny powód do nazywania siebie Białorusinami, a nie prawosławnymi Polakami. Ludzi, dla których język podlaski może potencjalnie wywołać taki efekt, jest na Podlasiu cztery razy więcej niż tych, którzy mogą tak emocjonalnie reagować na literacki język białoruski.

Liryczne intermezzo

Powiem teraz to samo, Olku, ale trochę inaczej. Żeby bardziej przybliżyć rozumienie tego, co ci umyka do tej pory.

Wyobraź sobie, że we wrześniu posyłasz syna do szkoły, w której stoisz przed wyborem: syn może pójść albo na lekcje białoruskiego, albo na lekcje podlaskiego. Co wybierzesz? Chciałbym bardzo usłyszeć twoją odpowiedź na to pytanie trochę wcześniej niż po następnych 15 latach. Ja odpowiem ci już teraz: gdybym stał przed takim wyborem, to bym posłał syna do klasy z językiem podlaskim. Bo chciałbym, żeby mój syn miał istotny powód do czucia się Białorusinem — żeby umiał mówić i pisać w języku swojego ojca, dziadka i pradziadka. Używam tu słowa „swój" całkiem konkretnie, bez żadnej przenośni — mam na myśli język rodzinny mój, mojego ojca i mojego dziadka, a nie język rodzinny twój, twojego ojca i twojego dziadka. W przeciwieństwie do ciebie jestem przekonany, że można czuć się stuprocentowym Białorusinem w Polsce znając wyłącznie język podlaski w mowie i piśmie (i do tego wyłącznie w alfabecie łacińskim, bez znajomości cyrylicy).

Rzecz jednak w tym, że ani ja, ani 30 tysięcy ludzi określających siebie Białorusinami, takiego wyboru w systemie oświatowym nie mieli i nie mają. Nie jestem na tyle naiwny, by sądzić, że taki wybór na Podlasiu można jeszcze mieć. Jest już za późno na takie akcje. Ale nie jest za późno na coś, co mogłoby zrekompensować brak takiego wyboru. Nie jest za późno na gazetę z artykułami w języku podlaskim, nie jest za późno na audycje radiowe i telewizyjne w języku podlaskim, nie jest za późno na literaturę w języku podlaskim. Nie jest także za późno na zajęcia fakultatywne o języku podlaskim i w języku podlaskim w tych szkołach powiatu hajnowskiego i bielskiego, gdzie nauczany jest literacki język białoruski (a także w tych, gdzie go nie uczą). Stwarzaniem takiej rekompensaty i namawianiem innych do jej stwarzania zajmowałem się przez ostatnie 15 lat. *Kab nia ŭmiorli*.

Bo tak naprawdę w tym wszystkim chodzi o naszą autentyczność, a nie o oficjalną butaforię. Dlatego, jak sądzę, Jerzy Chmielewski i Tamara Bołdak-Janowska zaczęli pisać *prostą mową*, tak jak mówili do nich ich rodzice i dziadkowie, mimo że mają przecież do dyspozycji dobrze rozwinięty język literacki. Bo język literacki nie jest tak do końca ich własny, nie jest autentyczny dla tej białoruskości, w której zostali wychowani — oni nie identyfikują się z nim dostatecznie

mocno na poziomie emocjonalnym. Oni, *Lićvini*. To co mam ci powiedzieć o *Pudlašach*?

Na jałowym biegu

Zastanawiało mnie to pytanie już na początku lat 1990., kiedy jeszcze pracowałem w redakcji „Nivy" w Białymstoku: Dlaczego relatywnie wielki przypływ młodych sił (mam na myśli przedstawicieli kilku pokoleń ludzi z dyplomami wyższych uczelni) do ruchu białoruskiego pod koniec lat 1980. i na początku 1990. nie miał wpływu na ogólną kondycję naszej mniejszości? Dlaczego przy ogólnie niezłym, a czasami nawet bardzo dobrym zabezpieczeniu finansowym ruchu białoruskiego przez państwo, nie udało się na dłuższą metę poszerzyć białoruskiej świadomości narodowej na „szeregowych" Białorusinów, to znaczy na ludzi niezwiązanych ani zawodowo, ani organizacyjnie z ruchem białoruskim? Nie udało się nie tylko poszerzyć tej świadomości, ale i powstrzymać jej kurczenia się. Nakład „Nivy" z roku na rok spadał; odzew czytelników w postaci listów i korespondencji do redakcji ustał faktycznie już w połowie lat 1990.; zupełną klapą zakończyła się próba białoruskiej działalności politycznej na Podlasiu na początku lat 1990.; po początkowym entuzjazmie studentów i wykładowców zwiędła i odeszła w niebyt idea utrzymania białoruskiej obecności na Uniwersytecie w Białymstoku. Spis powszechny 2002 roku potwierdził to, co niektórzy z nas od dawna przeczuwali — jesteśmy już na równi pochyłej i jako mniejszość zsuwamy się do grobu. Potem był spis roku 2011, który określił naszą prędkość umierania — 17% na dziewięciolecie...

Nie byłem jedynym, kto analizując wyniki spisu ludności 2002 roku zauważył, że Białorusinów mówiących w domu gwarą podlaską jest cztery razy więcej niż tych mówiących gwarą białoruską. Ale byłem jedynym, kto ośmielił się wysnuć wnioski z tej demograficznej dysproporcji i upublicznić je 15 lat temu. Nie będę ich tu przytaczać, bo można bez problemu przeczytać o nich w ogólnie dostępnym tekście Pisati po-svojomu z lutego 2005 roku i w dziesiątkach innych tekstów zamieszczonych przeze mnie w latach późniejszych na stronie internetowej *Svoja.org*. Wszystkie moje wnioski i postulaty można zgarnąć do jednego stwierdzenia: Jeśli chcemy myśleć o odsunięciu w czasie zgonu naszej mniejszości, musimy wprowadzić język podlaski w postaci mówionej i pisanej do mediów białoruskich w Białymstoku i potraktować go na równi z literackim językiem białoruskim w obsługiwaniu informacyjnych i kulturalnych potrzeb podlaskich Białorusinów.

W roku 2004 wiedziałem już, dlaczego ruch białoruski trzymający się wyłącznie literackiej białoruszczyzny będzie pracował w zasadzie na jałowym biegu i nie wywrze odczuwalnego wpływu na powstrzymanie procesu asymilacji naszej mniejszości. Dlatego też zacząłem o tym mówić i krzyczeć na wszelkie dostępne mi sposoby — w Internecie i w „Czasopisie". Daleki byłem i jestem od twierdzenia, że samo wprowadzenie języka podlaskiego stanowi panaceum na wszystkie nasze niedomagania. Zwracałem uwagę jeszcze na dwie inne ważne rzeczy. Jałowym jest kurczowe trzymanie się cyrylicy w próbie dotarcia drukowanym słowem do młodych Podlaszuków. I niewybaczalnym błędem jest ignorowanie możliwości, jakie roztacza przed promocją białoruskości Internet. Dzisiaj ludzie w wieku 15-25 lat nie czytają ani gazet, ani czasopism. Za to wszyscy mają smartfony albo ajfony i czytają komunikaty w sieciach społecznościowych. Czytaliby je i po podlasku, jak świadczy strona *Howorymo po swojomu* (ponad 10 tysięcy polubień) lub strona *Svoja.org* (ponad 1300 polubień) w Facebooku, gdyby nasi żurnaliści zechcieli i nauczyli się pisać takie komunikaty po podlasku.

Problem z żurnalistyką białoruską w Białymstoku polega jeszcze i na tym, że może ona istnieć bez odbiorców. Oby tylko przychodziły dotacje z ministerstwa.

Czego można się nauczyć od Mateusza Styrczuli

Pierwsze wrażenie, jakie nasunęło się mi niemal od razu po inauguracji strony *Howorymo po swojomu* w Facebooku pod koniec 2012 roku, było mniej więcej takie: Nikt z młodych ludzi zaglądających na stronę i zostawiających tam swoje komentarze i lajki nawet nie podejrzewa, że w Białymstoku wychodzą „Niva" i „Czasopis", że są audycje radiowe i telewizyjne w języku białoruskim, i że te publikatory i ich publikacje mają coś wspólnego z językiem ich rodziców i dziadków, którym akurat poświęcona jest strona Mateusza Styrczuli. To są dwa odrębne światy — świat młodych Białorusinów (młodych z białoruskimi korzeniami) i świat białoruskości oficjalnej! I to wrażenie pozostaje do dnia dzisiejszego, gdy stronę odwiedziło już ponad 10 tysięcy osób. To pokazuje w pierwszym rzędzie, jak daleko od współczesnego młodego odbiorcy znajduje się propozycja informacyjno-kulturalna serwowana przez mniejszościowe media białoruskie. Ta propozycja po prostu nie jest zauważana przez tego potencjalnego odbiorcę.

Zamiast ironizować, że Mateusz Styrczula „nie jest w stanie wymawiać poprawnie dźwięków obcego sobie języka", Łatyszonkowi warto byłoby poświęcić choć parę zdań fenomenowi, o którym wspomniałem powyżej: dla kogo tak naprawdę pracują masmedia białoruskie w Białymstoku, skoro 10 tysięcy potencjalnych młodych odbiorców i czytelników nic o nich nie wie? I dlaczego młodzi ludzie próbujący napisać choć parę słów *po-svojomu* publicznie robią to w alfabecie łacińskim? Czyżby to byli sabotażyści podkopujący „markery cywilizacji bizantyńskiej"?

Ci młodzi ludzie chcieli po podlasku mówić, a nie pisać — konstatuje ni stąd ni zowąd Łatyszonek w czasie przeszłym, jak gdyby strona *Howorymo po swojomu* należała już do przeszłości. Skąd taki wniosek? Strona ma swoje wahnięcia w aktywności zależne od podróży jej założyciela, zapalonego globtrotera, ale zapewniam profesora, że strona istnieje nadal i ma się dobrze. (Tak jak dobrze ma się strona *Svoja.org* i jej witryna w Facebooku.) Jeśli chodzi o mnie, gdybym miał wpływ na politykę personalną „Nivy", doradziłbym wziąć pana Styrczulę na pełny etat z gażą za dwa etaty i dać mu za zadanie reklamowanie działalności dziennikarskiej gazety w Internecie. Być może wtedy tygodnik miałby jeszcze jakieś szanse.

Strona *Howorymo po swojomu* całkiem bezpośrednio i dobitnie potwierdza moją tezę o mobilizacyjnym potencjale gwar podlaskich dla sprawy białoruskiej. Proszę bardzo, 10 tysięcy ludzi zagląda na stronę, która poświęcona jest przecież nie tylko gwarom podlaskim, ale i tym gwarom *po prostu* spod Sokółki i Dąbrowy Białostockiej. Język domowy, zasłyszany od rodziców lub, co bardziej prawdopodobne, już tylko od dziadków, jest jeszcze w stanie wywoływać emocje i zainteresowanie wśród młodego pokolenia. Dopóki to jest możliwe, istnieje szansa dla idei białoruskiej na Podlasiu. Literacki język białoruski już takiej szansy nie daje, od ćwierćwiecza co najmniej.

Który język jest „genialniejszy"

Na zakończenie chciałbym krótko odnieść się do opinii Łatyszonka, że idea języka podlaskiego tak naprawdę nie wyzwoliła wśród podlaskich Białorusinach żadnych wartych uwagi potencji kreacyjnych, które zapowiadałem w swoim artykule z roku 2005. Otóż wyzwoliła, tylko że Łatyszonek kwituje to uwagą, że „nikt z wybitnych poetów czy pisarzy władających swoją mową nie odczuwa potrzeby pisania w niej". Dowodem na to mniemanie jest niby to, że Nadzieja Artymowicz, Andrzej Stepaniuk i Michał Androsiuk, autorzy białoruscy na Podlasiu, wykorzystują w swojej twórczości literacki język białoruski albo polski, a nie literacki język podlaski, który rzekomo wynieśli z domu.

Problem w tym, że języka literackiego nikt nie wynosi z domu, panie profesorze. Języka literackiego człowiek uczy się w szkole i to przez wiele lat. Czy przyszło panu do głowy, ile lat

i w ilu szkołach uczyli się literackiego języka białoruskiego pan Stepaniuk, pan Androsiuk i pani Artymowicz? Jak można porównywać wybitność pisarzy (i przy pomocy wskazań jakiego termometru?) w literaturach, z których jedna ma infrastrukturę oświatową do nauki języka literackiego i ponad 100-letnią tradycję literacką, a druga nie ma żadnego szkolnego zaplecza i posiada skromniutką na razie tradycję wydawniczą? Tym niemniej ośmielam się zwrócić uwagę, że literatura w języku podlaskim istnieje i ma się coraz lepiej. Jak wspomniałem, na przeciągu ostatniego półtora roku wyszły cztery książki literackie po podlasku (w tym znakomity zbiór wierszy Zoji Saczko „Poka"). W przygotowaniu do wydania znajduje się pierwsza powieść po podlasku. To są tak naprawdę pierwsze kroki literatury w języku podlaskim. Obawiam się, że w literaturze w języku białoruskim na Podlasiu wspomniani przez Łatyszonka autorzy postawili już ostatnie kroki. Mówię to ze smutkiem, ale tak właśnie oceniam perspektywę literatury mniejszościowej pisanej w języku niebudzącym odniesień rodzinnych.

„Kiedy najpierw „Czasopis", potem „Niva" otworzyły wreszcie swoje łamy dla języka podlaskiego, nie spowodowało to żadnego ożywienia twórczości w tym języku" — pisze Łatyszonek. Czyżby?

„Czasopis" zaczął publikować teksty o języku podlaskim i w języku podlaskim już w roku 2005, gdy tylko wystąpiłem z ideą tego języka. Niektóre z moich tekstów opublikowanych w „Czasopisie" weszły do książki *Čom ne po-svojomu?* (to oczywiście nie beletrystyka, ale twórczość publicystyczna). Zaś podlaskie teksty Haliny Maksymiuk — publikowane w tym miesięczniku wspomnienia z jej dzieciństwa — złożyły się na pierwszą drukowaną książkę prozy beletrystycznej po podlasku pod tytułem *Biêlśk, Knorozy, Ploski (i inšy vjoski)* (2019). Wspomnienia tej autorki z cyklu *Môj češki film*, publikowane w „Czasopisie" obecnie, też wyjdą osobnym, poszerzonym o nowe teksty wydaniem.

Natomiast stwierdzenie Olega Łatyszonka, że „Niva" „otworzyła łamy" dla języka podlaskiego, oburzyło mnie swoim cynizmem. Kiedy to się stało? I co to znaczy, jeśli coś takiego naprawdę miało miejsce? W sytuacji, gdy czytelników „Nivy" nikt do tej pory nie spróbował nauczyć pisania w literackim języku podlaskim, jak można się spodziewać jakiegoś ożywienia twórczości w tym języku? Wyłącznie poprzez rzucenie hasła „otwieramy łamy"? Równie dobrze „Niva" mogłaby w ten sposób „otworzyć łamy" dla języka węgierskiego i oczekiwać ożywienia literackiego na Podlasiu po węgiersku. Zadaniem dziennikarzy „Nivy" nie jest robienie łaski swoim czytelnikom i „otwieranie łamów" dla czegoś, co na dobrą sprawę postawiło tylko pierwsze kroki, a aktywne stwarzanie podwalin pod naukę literackiego języka podlaskiego poprzez publikowanie własnych materiałów w tym języku. Nie tylko po to, by czytelnicy „Nivy" mogli się przekonać, że w tym języku można napisać i felieton, i wiersz, i opowiadanie, ale przede wszystkim po to, by tygodnik mógł wyjść ze strefy społecznej i czytelniczej nieistotności, w której przebywa od co najmniej ćwierćwiecza. Ja właśnie w takim aktywnym podejściu widzę „otwieranie łamów" dla języka podlaskiego — i cały czas o tym właśnie mówię i do tego namawiam. W „Czasopisie" jego redaktor Jerzy Chmielewski nie jest w stanie pisać po podlasku, bo wychował się w innym języku. Dlatego robimy to ja i moja żona. Zaś sam Jerzy Chmielewski zaczął pisać teksty *po prostu* i w ten sposób „otworzył łamy" dla autentycznych języków na Podlasiu w dwójnasób.

Po co Oleg Łatyszonek napisał swój tekst?

Być może tylko po to, żeby mieć kolejną publikację, tak jak na ogół jest to wymagane co jakiś czas od pracowników naukowych na uniwersytetach. *Publish or perish*, jak mawiają w takiej sytuacji angielskojęzyczni profesorowie.

Ale ja zadaję pytanie o istotę rzeczy: po co profesor Łatyszonek narażał na szwank swój autorytet naukowca publikując jawnie publicystyczny tekst nie poparty żadnymi badanami socjologicznymi czy innymi, a opierający się wyłącznie na jego mniemaniach i opiniach? Co chciał przez to osiągnąć? Dlaczego tych swoich opinii nie opublikował w odcinkach w „Nivie" lub „Czasopisie", gdzie miałby znacznie więcej czytelników i to takich, których poruszony temat naprawdę dotyczy i obchodzi?

Moja odpowiedź na to, przyznaję, obcesowe pytanie brzmi w przybliżeniu tak:

Oleg Łatyszonek w końcu zrozumiał, że języka podlaskiego na Podlasiu nie da się zbyć tak po prostu nawet 15-letnim milczeniem i postanowił napisać coś w rodzaju usprawiedliwienia dla swego milczenia. A także usprawiedliwienia dla swoich kolegów w Białymstoku, którzy mu w tym milczeniu dzielnie sekundowali. OK, zdaje się mówić Łatyszonek swoim tekstem, język podlaski istnieje, ale fakt ten nie ma dla Białorusinów większego znaczenia. Łatyszonek pod koniec nawet przyznaje, że literacki język białoruski nie ma dzisiaj dla podlaskich Białorusinów znaczenia w stopniu nie mniejszym niż język podlaski. Mogę się z tym ostatnim stwierdzeniem zgodzić, ale tylko ze względu na naszą wieloletnią znajomość i wspólne wspomnienia weteranów :-)

Nie mogę jednak znaleźć żadnego usprawiedliwienia dla kolegów profesora Łatyszonka z „Nivy", którzy przez ostatnie 15 lat jechali świadomie na jałowym biegu, napędzani siłą inercji, i nic, ale to zupełnie nic nie robili, by zachować choć cokolwiek z podlaskiej spuścizny językowej swoich ojców i dziadków. Panowie i panie, w końcu jednak trzeba będzie odpowiedzieć na jeszcze jedno obcesowe pytanie: Kto tak naprawdę przez ten cały czas był nie na swoim miejscu — naród, który zignorował swoich nominalnych orędowników i postanowił roztopić się w większości, czy jego nominalni orędownicy, którzy pracowali bez wytchnienia, ale na jakiś inny naród niż ten na Podlasiu?

Praga, czerwiec 2019